

MAŁGORZATA
CIUPIŃSKA



MISIEK

Małgorzata Ciupińska

MISIEK

© Copyright by Małgorzata Ciupińska & e-bookowo
Grafika i projekt okładki: Maria Ciupińska
ISBN 978-83-7859-027-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Patronat medialny

Twojakultura.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2012

Franciszek miał czterdzieści dwa lata. I przeżył je – poza wczesną młodością – sam, w małym domku, na skraju wsi. Samotność ta nigdy nie była przedmiotem jego rozważań, co więcej, on jakby jej w ogóle nie zauważał, a już na pewno się nią nie przejmował. Fakt swojej samotności przyjął tak, jak się przyjmuje, na przykład resztę w sklepie albo to, że po dniu następuje noc i odwrotnie. Jak mu z nią było? Ano ani dobrze, ani źle; centrycznie, ambiwalentnie i alternatywnie.

Teraz, śnieżną zimą, w dzień wigilijny szedł dość dziarsko przez pole, po średnio głębokim śniegu, aby dostać się do... centrum wsi. Śmiesznie brzmiało: „centrum wsi”, to tak, jakby powiedzieć, że się spojrzało w „głęb kałuży” albo wyjmowało brud spoza „wielkich przestrzeni paznokci”, albo jeszcze uznać, że „jak okiem sięgnąć” stół był cały zastawiony garnkami i talerzami. Te porównania dotyczyły spraw nieskomplikowanych, prostych i takich z natury swej rzeczy egzystencjalnych. Można też je przenieść na grunt wszechobecnej dziś polityki i wtedy przyrównalibyśmy to centrum wsi do... no, na przykład takiego przejawu demokracji, jakim jest... wolność słowa. Jedno i drugie nadymane, prawda? Bo przecież i tak każdy wie, iż tę wolność nawet w demokracji (podobno najsprawiedliwszym ze wszystkich systemów politycznych) zawsze ogra-

niczają jakieś układy, konwenanse i przeróżne zależności. Zatem, to centrum wsi jest takie jak ta wolność. Jedno i drugie mocno przesadzone, jak śmierć u Marka Twaina: przedwczesna, umowna, z tendencją do wielkiej nieścistości.

Choć Franciszek mieszkał na skraju wsi, to wcale jeszcze nie oznaczało, że o tej polskiej demokracji z tendencją do nieścistości, do rozłazenia się na boki nic nie wiedział. O nie! On miał w domu telewizor, miał radio, czytał gazety, a nawet nosił się z zamiarem kupienia komputera, aby śledzić, jak bardzo ta demokracja rozłazi się na boki i jak pożerają ją stany peryferyjne.

Zakup komputera był już raczej przesądzony, chodziło teraz tylko o to, gdzie go zainstalować. A to wcale nie było sprawą prostą, a nawet wymagało wielu kombinacji. Aby komputer umieścić w domu, Franciszek będzie musiał usunąć kurnik z izby, która przylegała do kuchni, bo do pokoju nijak tego komputera nie wstawi, gdyż musiałby wtedy przegonić stamtąd psa i zrobić coś z klatką z kanarkiem. Pies, absolutnie, musi mieszkać w pokoju, gdyż on, Franciszek, nie będzie przecież gadał – będąc w domu – do zwierzęcia, które łązi gdzieś tam po obejściu, a krzyczeć do niego przez okno nie miał zamiaru. Kanarka nie wyrzuci natomiast byle gdzie, bo co by ludzie na to powiedzieli. W sypialni komputer też stać nie może, bo – o tym czytał w prasie – sprzęt

taki wydziela mnóstwo złych prądów i każdy żywy organizm tylko się od tego psuje. Dlatego spać z nim w jednym pomieszczeniu wcale nie zamierzał. Pozostawała więc tylko ta izdebka przy kuchni. W końcu ustrojstwo to, jeśli już się pojawi w jego domu, będzie najnowszym nabytkiem, a nie wypada, by takie coś ledwo przyszło i zaraz się pchało na pokoje...

Ale wracając do zimowej wędrówki Franciszka przez pole: szedł zamasyście, radośnie, mając za cel owe... centrum wsi. Sadził ogromniaste kroki, w czym pomocne mu były wielkie, żołnierskie kamasze, które udało mu się kiedyś „ściągnąć” z kramu jakiegoś obwoźnego handlarza. Hmm, no... tak. Tak, „ściągnięcie” kamaszy trzeba nazwać po imieniu... Franciszek był przeważnie... złodziejem, to znaczy był złodziejem wtedy, gdy nie budował domów i tylko wtedy, gdy potrzeba go do tego zmuszała. Ale nigdy, poza tymi okolicznościami. Właściwie, to jego złodziejstwo było na tyle niestandardowe, że prawie nie mieściło się w pojęciu klasycznie rozumianego złodziejstwa. Cała wieś na przykład nie odważyłaby się określić go mianem złodzieja, a już na pewno nie takiego pierwszego lepszego. Ale i sam Franciszek nigdy nie był taki pierwszy lepszy. Prawda o Franciszku rościła sobie prawo do bycia bardziej skomplikowaną.

Samotnik Franciszek był też głównie... fachowcem. Fachowcem wysokiej klasy. Jedynym, ogrom-

nie cenionym we wsi mistrzem murarskim, stolarskim i szklarskim. Zatem, był on co prawda z jednej strony przeważnie złodziejem, ale z drugiej był głównie fachowcem. Dla chętnych tak sformułowane określenie nie będzie pozbawione logiki. Ale... tylko dla chętnych. O ile w złodziejstwie był raczej partaczem, o tyle w murarce był znakomity. Potrafił z ogromnym znanstwem stawiać domy, umiał też... stawiać domy i jeszcze... stawiać domy.

No cóż, tak naprawdę to potrafił tylko stawiać domy. Co drugi dom we wsi nosił ślady jego linii papilarnych i nie była to zbyt przesada, gdyż na zakończenie każdej roboty murarskiej, w każdym wiejskim obejściu przykładał swą wielką łapę do mokrego tynku, wkręcał się w masę namiętne, potem stał w napięciu przez parę chwil dziwnie scalony z murem, po czym delikatnie wysuwał dłoń ze świeżo zrobionej przez siebie formy i ku swojej i innych radości przyglądał się wgłębieniu, jak powoli zasycha i będzie od teraz dawać świadectwo jego mistrzowskich umiejętności, których nie sposób przecenić. Ze swej sztuki budowania domów był znany nie tylko w rodzinnej wsi, ale i w całej gminie.

Choć jego praca, wysiłek i znój, jakie wkładał w stawianie budynków, były jak najbardziej policzalne, to Franciszek jednak nigdy nie potrafił tej policzalności przełożyć na pieniądze. Tak się składało, że w ogóle to rzadko miewał w swych rękach pie-

niądze. A gdy się mu to już przytrafiło, oglądał bilon lub banknoty na wszystkie strony i zastanawiał się, jak one mają się do wielkości ścian, szerokości podmurówki, co mają wspólnego z długością wieżby dachowej czy ilością zaprawy murarskiej w betonie. Czasem szedł całą drogę do domu, miętoląc papierek w rękę i zdawał się tylko czekać, by się jakos tych dziwnych rzeczy pozbyć, uznając, że jemu one i tak na nic się nie przydadzą. Dlatego nieraz wybawieniem z tego kłopotu było na przykład jakieś dziecko spotkane na drodze. Zwykle zaczynał je słowami:

– Ej, mały! Chcesz taki papierek? Przyda ci się na co?

Zawsze słyszał tę samą, chętnie udzielaną odpowiedź:

– Jasne, że chcę! Dzięki ci, Franek! – i łapczywie wyciągnięta ręka uwalniała Franciszka z zakłopotania.

Pozbywszy się niechcianego, mógł sobie teraz swobodnie wsadzić obie ręce do kieszeni i już nie zastanawiać się nad czymś, od czego tylko głowa mu puchła. Pod tym względem osobliwy ten typ, był endemicznym wybrykiem natury, któremu to wybrykowi groziło rychłe wyginięcie. Jako wybryk natury promował z uporem maniaka zanikającą formę handlu wymiennego, jako tę najprostszą i najbardziej

wymierną przy przeliczaniu jednego towaru na drugi. Przy czym Franciszkowe przeliczniki były – bez przesady – absolutnie z księżyca wzięte. Jakże fantastycznie ten handel wyglądał! Jaki był interesujący i... niestety, tylko wybiórczo rozumiała.

Za budowę przykładowego domu Franciszek brał, co następuje: za jedną ścianę żądał sobie ziemniaków na zimę i przednówek, za drugą – świni, którą zamieniał w stosownym czasie na płyty mięsa i pęta kielbasy, za trzecią ścianę otrzymywał drewno i węgiel na opał, czwarta przeważnie stanowiła równowartość rocznych opłat za telewizor, radio, wywóz śmieci, wodę i gaz. Dach wyceniał na szeroki zestaw szmat. Przy czym szmaty w jego nazewnictwie to odzież, buty, rękawiczki, bielizna. I właśnie z tym był największy kłopot... nie, nie dla niego, ale dla... większych gospodyń. Bo to one musiały go mierzyć, okręcać, obracać, to one musiały zajrzeć do szafy, by stwierdzić, czego Franciszkowi brakuje, co się już zniszczyło, a co trąci już straszną starzyzną. Baby, nie można powiedzieć, nawet kontaktowały się ze sobą, by nie ubierać Franciszka jak popadnie, ale by jedno do drugiego pasowało, dawało się jakoś zestawić, a nawet czasami miało pretensje do elegancji. Starły się, by z powodu zderzenia różnych gustów Franciszek za bardzo nie ucierpiał.



Z wykształcenia jestem pedagogiem pracy (powiedzmy, że równa się to socjologii), ale z pracą w tym zawodzie różnie bywało. Studiowałam też na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie (studia podyplomowe) na kierunku filozofia i religioznawstwo. Mam za sobą kilka mniej lub bardziej istotnych szkoleń: marketing, zarządzanie, ubezpieczenia, projekty unijne. Z ciekawszych wymienię jednak kurs języka migowego, choć obecnie umiejętności te są tylko sztuką dla sztuki.

Pierwszym moim miejscem pracy był duży zakład przemysłowy; restrukturyzacja nie wyszła mu jednak na dobre. Mnie również, ponieważ w tej sytuacji musiałam szukać innej pracy. Następnie znajdowałam zatrudnienie w redakcjach lokalnych gazet. Przez pewien okres pracowałam w instytucjach niosących pomoc społeczną i socjalną. Był także czas, gdy pracy nie miałam w ogóle – może inaczej: wtedy, owszem, nie otrzymywałam pensji, ale jednak pracowałam. Powstawały moje utwory, a przeżyte niedostatki (nie tylko finansowe) stały się strawą dla mojej twórczości.

Od kilku ładnych lat obchodzę stale swe 35-te urodziny i zazwyczaj jest to w zgodzie z moim samopoczuciem, choć akurat z faktem zgodziło się to tylko raz w życiu. Mam szerokie zainteresowania, ale raczej wszystkie zawsze zmierzają do tego, by nagromadzone wrażenia zaoocowały w moich utworach.